

David Bowie odszedł na zawsze

Grzegorz Walenda

Drugi tydzień stycznia przyniósł miłośnikom rocka smutną wiadomość. Zmarł David Bowie – jeden z najpopularniejszych i najbardziej zasłużonych dla sceny rockowej wykonawców drugiej połowy XX wieku.



Śmierć artysty zaskoczyła wszystkich, nawet osoby, które jego twórczości nie znały. Najszybciej na wiadomość zareagowały portale internetowe. Opublikowały listy nagrań piosenkarza. Stworzyły ranking albumów i podały najważniejsze fakty z jego burzliwego życia.

Naprawdę nazywał się David Robert Jones. Urodził się 8 stycznia 1947 roku w Londynie. W czasie bójkii o dziewczynę oberwał w oko, co spowodowało rozszerzenie źrenicy. Od tamtego zdarzenia wydawała się innego koloru. Teraz wszyscy znają też przyczynę zgonu. Była nią, skrzętnie ukrywana przed mediami, a trwająca 18 miesięcy, choroba nowotworowa. Muzyk przegrał z nią walkę 10 stycznia 2016 – dwa dni po swoich 69. urodzinach, z okazji których miał premierę jego ostatni album, „Blackstar”. Nazajutrz media rozpiśały się o jego dokonaniach. Również u nas, choć Bowie w Polsce nie był aż tak popularny jak w innych krajach. Przypomnę, że jedyny, planowany na 27 lipca 1997 roku, koncert artysty na gdańskim stadionie Lechii nie odbył się z powodu nikłego zainteresowania. Jednak od tamtego



czasu sporo się zmieniło. Wraz z rosnącym dostępem do płyt oraz do internetu coraz więcej melomanów nad Wisłą piosenkarza poznało i ceni. Całkiem słusznie, bo to artysta nietuzinkowy. Estradowy kameleon, jak go nazywano. Nie tylko dlatego, że często zmieniał wizerunek. Również jego twórczość ewoluowała i miała wpływ na stylistykę nagrań innych wykonawców.

Bowie chętnie eksperymentował, realizując nowatorskie pomysły. W okresie „Berlińskiej trylogii” [albumy „Low” (1977), „Heroes” (1977) i „Lodger” (1979)] próbował swoich sił w rozwijającej się wówczas elektronice. Niektórzy zaliczają te nagrania do szczytowych osiągnięć wykonawcy. Nie podzielam tej opinii. Wolę wcześniejsze utwory, kiedy Bowie zainteresowany był amerykańskim soulem. Album „Young Americans” (1975) z tego okresu – przepelniony brzmieniem filadelfijskim – lepiej się komponuje

z temperamentem autora niż sztuczny dźwięk syntezatorów.

Były też inne odsłony w twórczym dorobku wykonawcy. Przykładem choćby ostatni album – „Blackstar” (2016), na którym piosenkarz zaprosił do współpracy muzyków jazzowych.

„Bowie odszedł. Żadnych koncertów!” – to wcale nie wiadomość z początku stycznia. Takie tytuły można było przeczytać w światowej prasie muzycznej 43 lata temu. Brytyjski artysta, podobnie jak wcześniej The Beatles, doszedł do wniosku, że osiągnął swój muzyczny cel. Możliwe nawet, że poczuł się za stary, aby na scenie grać rocka, uznawanego wtedy za muzykę ludzi młodych. Może nie tylko dwudziestolatków, jak sądzono pod koniec lat 60., kiedy Bowie debiutował (pierwszy album wydał w 1967 roku), ale na pewno nie kogoś po trzydziestce. „Nie sądziłem, że rock and roll będzie miał taki długi żywot” – stwierdził niedawno. Jego „pożegnalny” występ odbył się 3 lipca 1973 roku w Londynie. Było to po dobrze przyjętej pły-

Zagrał także w 22 filmach. Niekiedy samego siebie, ale to wyjątki. Na ogół pracował jako prawdziwy aktor, choć zwykle w rolach drugoplanowych. Kinomani pamiętają jego znakomity występ w horrorze „Zagadka nieśmiertelności” Tony’ego Scotta (1983), w którym partnerował Catherine Deneuve i Susan Sarandon. Miał też w swoim dorobku epizody teatralne. Zagrał m.in. tytułową rolę w broadwayowskim spektaklu „Człowiek słoń”.

Nie stronił od filmów komediowych („Numer nie z tej ziemi”, serial „Życie jak sen”). Nic dziwnego. Miał pogodne usposobienie i lubił się bawić. Można to wywnioskować z licznych wywiadów. Jego odpowiedzi na różne, czasem poważne pytania dziennikarzy, są zabawne i rozbawiające. Zagadnięty kiedyś, czy oprócz komponowania piosenek tworzy poezję, odpowiedział: „Poezja, którą zdarza mi się okazjonalnie pisać, zawsze wygląda tak, jakby potrzebowała muzyki”. Na pytanie, czy lubi swoje zajęcie, odrzekł z uśmie-



Fot. Sony Music

cie „Space Oddity” (1969), której utwór tytułowy do dziś uznawany jest za najważniejszy w fonograficznym dorobku artysty. Bowie miał już wtedy na koncie trzy inne udane albumy – „The Man Who Sold the World” (1970), „Hunky Dory” (1971) i „The Rise and Fall of Ziggy Stardust and the Spiders from Mars” (1972). Fani najbardziej cenią ten ostatni, na potrzeby którego Bowie wcielił się w postać kosmity Ziggy’ego Stardusta, a swój zespół nazwał Pająkami z Marsa. Krążek rzeczywiście jest dziełem epokowym. „Chodziło mi o poskładanie różnych elementów, które fascynowały mnie w kulturze. Od teatru Kabuki, po Jacquesa Brela i Little Richarda. Ziggy był hybrydą moich zainteresowań. Bawiliśmy się rock and rollem” – wyznał.

Na szczęście, zapowiedziane wtedy „odejście” okazało się jedynie chwilowe. Później Bowie nie tylko nagrał 20 płyt studyjnych, ale też wielokrotnie występował na scenie.

chem: „Nie chciałbym oglądać na scenie artysty, który nudzi się tym, co robi”. Z kolei dziennikarzowi zainteresowanemu jego berlińskim adresem, bez zastanowienia go ujawnił, chociaż dawno tam nie był. Wyjaśnił, że zapamiętał adres na zawsze od ciągłego powtarzania go taksówkarzom, którzy odwozili go do domu po zakrapianych imprezach. Słowem: facet na luzie.

Do tego towarzyski. Bowie nieraz opowiadał, jak to świetnie się bawił ze swoim kumplem Iggyem Popem czy dyskutował z Andym Warholem. Temu drugiemu poświęcił nawet piosenkę. Dobrze spędzało mu się też czas z Johnem Lennonem, z którym nagrał „Fame”. Szkoda, że odszedł tak szybko.

Pożegnajmy go słowami utworu „Space Oddity”:

„Wychodzę i dziwnie się unoszę. Gwiazdy wyglądają dziś zupełnie inaczej...”